

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Zagadka Cromwella

POŚMIERTNE DZIEJE LORDA PROTEKTORA

Meteoryczna była karjera Olivera Cromwella. Jako syn średnio zamożnego wiejskiego szlachcica wszedł do parlamentu. Gdy wybuchła wojna domowa, rujnując się, wystawił własnym kosztem oddział jazdy przeciw królowi. W ciągu lat kilku doszedł do stanowiska naczelnego wodza, stał się uznanym przywódcą stronnictwa republikańskiego, wreszcie oddano mu nieograniczoną prawie władzę jako lordowi protektorowi. Trzy parlamenty rozwiązał w ciągu pięcioletnich rządów i władał Anglią jako dyktator wojskowy. A władał energicznie i szczęśliwie. Widać to przede wszystkim po jego powodzeniach w polityce zagranicznej. Cromwell poczuł się spadkobiercą Gustawa Adolfa, głową obozu protestanckiego i zwalczał na każdym kroku katolicyzm. Wie o tem coś Polska, przeciw której stworzył protestancką koalicję, złożoną ze Szwecji, Siedmiogrodu i Brandenburgii. Wielkie plany zniszczenia państw katolickich nie powiodły się, ale Anglia odniosła szereg zwycięstw i była za rządów zdolnego uzurpatora pierwszą potęgą europejską.

Rojaliści, katolicy i umiarkowani protestanci byli narażeni na straszliwy ucisk, ale musieli milczeć. Napajał się też Cromwell do woli za życia wonią kadzideł. Już gdy w r. 1649 wracał do Anglii po krwawej kampanii Irlandzkiej, witał go Andrew Marvell oda, w której z emfazą nazywał go płomieniem gniewnego nieba, któremu opierać się i który ganić jest szaleństwem. W pięć lat później inny wybitny poeta, Edmund Waller, z przekonania rojalista, wywdziaczył się protektorowi za pozwolenie powrotu z wygnania innym sławnym panegirystą. Opiewał protektora i inny późniejszy rojalista, John Dryden, poświęcając mu jeden ze swych najwcześniejszych utworów. Zawsza słysząc było głosy uwielbienia i pochlebstwa.

3 września 1658 znany współczesny pamiętnikarz John Evelyn zanotował lakonicznie:

Umarł ten arcybuntownik, Oliver Cromwell, zwany protektorem.

Rojalista pisał w tajemnicy i dla siebie. Wypowiedział jednak sąd, który długo miał utrzymać się w Anglii, gdzie ograniczono władzę królewską do minimum i zmieniono w instytucję czysto reprezentacyjną, ale zachowano dla niej część i przywiązanie. Cromwella słusznie uważano za głównego sprawcę egzekucji Karola I. i długo mu tego nie chciało przebaczyć.

W półtora roku bowiem po zgonie protektora nastąpiła restauracja monarchii. Karol II nie był człowiekiem okrutnym i unikał wyroków śmierci nawet na tych, którzy skazali jego ojca. Nie przebaczył jednak zmarłym. Ciało Cromwella wyciągnięto z grobu i powieszono w Tyburn, na znanym miejscu egzekucyj. Przez długie lata wspominano go ze

wstrętem i nienawiścią jako królobójcę.

Dopiero wiek XX. przyniósł wyraźną zmianę. Carlyle sympatyzował z Cromwellem jako z purytaninem i jako z mądrym tyranem, gdnym do zaliczenia w poczet „bohaterów”. Potem historjografia stała się rodzajem monopolu liberałów, a ci traktowali protektora z sympatią. Pisał o nim np. klasyczny biograf lord Morley. Mimo całej lojalności Anglików królobójstwo z przed ćwierć tysiąca lat przestało oburzać. Tuż koło gmachu parlamentu wystawiono Cromwellowi pomnik — i stoi tam z twarzą dumną i pewną siebie, spoglądając — na Ryszarda Lwie Serce, feudalnego monarchę i nieledwie błędnego rycerza...

Weszliśmy w drugą fazę pośmiertnych dziejów Cromwella. Teraz wielkość przyznawali mu wszyscy, lecz nie było zgody co do jego charakteru. I rzeczywiście badacz stawał tu oko w oko z zagadką nielada. Cromwell wybił się jako fanatyczny zwolennik parlamentarizmu i obrońca konstytucji. Potem rządził absolutnie przy pomocy wojska i rozpedził trzy parlamenty. Był zwolennikiem hierarchii społecznej, a musiał opierać się na niższych klasach. Był za utrzymaniem monarchii, a popełnił królobójstwo. Z tych powodów przylgnęła do niego opinia obłudnika, który swą niepohamowaną niczem ambicję pokrywał głoszonemi nieszczerze hasłami.

BUCHAN

Obecnie wyszły dwa obszerne dzieła, poświęcone Cromwellowi, napisane przez ludzi odmiennych przekonań. Oba przeczą utartej opinii, dochodząc mniej więcej do tego samego rezultatu. Autorami są szkocki protestant John Buchan, znany dotychczas głównie jako krytyk literacki, i francuskiego pochodzenia katolik Hilarie Belloc, autor szkiców, powieści, poezji i historyk raczej z zamiłowania, niż z zawodu. W jednej i w drugiej książce natrafiamy na próbie rehabilitacji charakteru Cromwella. Tu i tam przedstawiony on jest jako człowiek, działający w imię pewnych przekonań i idei, którego okoliczności żelazną logiką wypadków zmuszały raz po

raz do działania wbrew własnej chęci.

Oto, co mówi Buchan:

Paradoks... jest najgłębszą treścią jego charakteru i kolei jego życia. Jak Pompeusz, był *suum legum auctor ac subversor*; zwolennik prawa, musiał często popełniać bezprawia; człowiek nawskroś cywilny, musiał władzę swą utrzymywać mieczem; z namietnością budowania spełniał przeważnie zadanie burzenia; najskrupulatniejszy z ludzi, musiał kolezastem podkowami deptać skrupuły własne i innych; pełen czułości, musiał wiecznie zdobywać się na twarde serce; najbardziej angielska z naszych większych postaci, przez całe życie przeciwstawiał się większości Anglików.

Jeżeli jednak Cromwell był „najbardziej angielskim” z wielkich Anglików, zawdzięczał to jedynie atmosferze, otoczeniu i wychowaniu, a nie krwi. Buchan podaje prawie nieznaną fakt, że był on z pochodzenia Walijszczykiem i pierwotne rodowe nazwisko brzmiało Williams. Jak Tudorowie i jak... Lloyd George.

Dzieło Buchana przedstawia żywot Cromwella na rozległym tle jego czasów. Autor oparł się na gruntownym studium źródeł i niejednego można się od niego nauczyć. Między innymi spotykamy u niego szczegółowe, a dokładne opisy bitew, które posłużyć mogą do sprostowania pewnych mylnych pojęć o wojnie domowej. Wigowie i liberali, którzy pisali historię, przemilczali zazwyczaj przewagę liczebną wojsk parlamentu, wywołując wrażenie, że religijny fanatyzm purytanów brał górę nad rycerskim duchem wojsk królewskich. Tymczasem trzeba pamiętać, że stronnictwo parlamentarne miało w ręku stolicę i wogóle bogatsze południe, a także większą część portów i flotę. Rozporządzając zasobami wszelkiego rodzaju, wysyłało w pole coraz nowe siły, podczas gdy królowi coraz trudniej było zapętniać luki. W trzech ostatnich bitwach, które rozstrzygnęły wojnę, rojaliści walczyli z podwójną przewagą.

BELLOC

Książka Belloc'a góruje nad ogłoszoną przez Buchana stylistycznym wykończeniem. Niedarmo Rupert Brooke, zapewne największy poeta angielski XX

wieku (przedwcześnie zmarły jako żołnierz podczas wojny światowej), powiedział, że niema równego Belloc'owi żyjącego prozaika angielskiego. A pod jasnymi, harmonijnymi okresami kryje się treść bynajmniej nie tuzinkowa.

Nie sam charakter Cromwella stanowi dla Belloc'a główny problem. Autor zajmuje się przede wszystkim jego strategią, dowodząc, że protektor był twórcą nowej taktyki, szczególnie w zakresie użycia kawalerii. Zwalnia go od zarzutu samolubnej żądzy władzy, górującej nad wszelkimi innymi uczuciami. Cromwell służył idei, którą była obawa przed reakcją katolicką.

Podręczniki historii, z których uczą w szkołach angielskich, traktują sprawę reformacji powierzchownie, rzecz nawet można, fałszywie. Wszczepiają przekonanie, że Anglia zmieniła posłuszenie religię, gdy Henryk VIII. wbrew woli papieża odepchnął Katarzynę Aragońską i poślubił Annę Boleyn. Tak bynajmniej nie było. Przyszła reakcja katolicka za Marii, potem Elżbieta przechyliła się na stronę reformacji. Lecz i wtedy jeszcze połowa narodu trwała przy dawnej wierze, a i anglikanizm był właściwie do niej bardzo zbliżony. To też ustawicznie pojawiała się ze strony prawdziwych protestantów żądanie, aby „dokończyć reformację”. Wojna z Hiszpanią, stojąca na czele obozu katolickiego, przyczyniła się potężnie do wzrostu i wzmocnienia się protestantyzmu. Lecz i wtedy jeszcze walka nie była rozstrzygnięta. Dopiero wojna domowa miała ją rozstrzygnąć — tak jak wojna trzydziestoletnia w Niemczech.

Cromwell walczył tedy przeciw katolicyzmowi — i wygrał. Równocześnie jednak był nieświadomym narzędziem w rękach historii. Zadał śmiertelny cios monarchii, która wprowadziła powrót do po jego śmierci, lecz już pozbawiona dawnego nimb, osłabiona i skazana na stopniową utratę istotnej treści. Ustaliła się oligarchia wigów, w stosunkach ekonomicznych zatrziumfował nad feudalną szlachtą nowoczesny kapitalizm. Gdyby Cromwell był zdawał sobie sprawę, ku czemu prowadzi Anglię, byłby niewątpliwie cofnął się ze zgrozą przed konsękwencjami swych czynów.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

Rewolucja francuska w powieści

Wielkie momenty dziejowe zawsze znajdowały swe odbicie w literaturze. Tak przełomowy i decydujący w dziejach nie tylko Francji, ale całej społeczno-politycznej kultury europejskiej moment, jak wielka rewolucja francuska, nie mógł nie odbić się głośnie echem w literaturze pięknej na przestrzeni całych dzieścioleci i u wszystkich niemal narodów.

Olbrzymią ilość powieści na temat rewolucji znajdziemy przede wszystkim — co jest rzeczą zrozumiałą — w literaturze francuskiej. Żaden wybitny beletrysta francuski nie mógł przejść obok tej epoki obojętnie, — bez względu na

to, czy będzie to powieściopisarz historyczny, czy też taki, który do przeszłości — jako do tematu literackiego — odnosił się niechętnie, a nawet z pogardą, nie mógł jednak przejść obojętnie mimo zjawiska rewolucji i jej ludzi. Byłoby rzeczą niemożliwą pominąć nawet omówienie wszystkich francuskich powieści historycznych z okresu wielkiej rewolucji, zastanówmy się więc tylko nad najbardziej popularnymi, niegdyś bardzo głośnie, a mającymi i to jeszcze znaczenie, że wyszły z pod pióra znakomitych pisarzy, zdobywających triumfy przeważnie na innych polach literackich.

Pierwszy powieściopisarz francuski

w nowoczesnym stylu, bożyszcze romantyzmu, nie tylko francuskiego, twórcą romantyczno-historycznych tragedii, autor „Nędzników” i „Notre Dame de Paris” — Victor Hugo — gdy chodzi o rewolucję francuską — całą swą sympatią darzył obóz jakobiński, obóz triumfującej rewolucji, która go, — co jest zupełnie zrozumiałe w epoce wzmocnienia się uczuć narodowych w czasach romantyzmu, — porywała przede wszystkim chwałą oręża francuskiego, niosącego hasła wolności, równości i braterstwa daleko poza granice dawnego królestwa Burbonów. W powieści „Rok dziewięćdziesiąty trzeci” i w Victorze Hugo terror jakobiński budzi dreszcz zgrozy, z

drugiej jednak strony nie może autor zdobyć się na potępienie wojującego jakobinizmu.

Dziś powieść ta (w przeciwieństwie do „Człowieka śmiechu”) robi wrażenie nużącej, a nawet nudnej, w dodatku czytelnika dzisiejszego razi, a nawet irytuje koturnowość i patos, cechujące „Rok 93”. Jak u wszystkich walter-scottystów, wypadki naprawdę dziejowe i wielkie postacie historyczne usunięte są na plan dalszy, bohaterami zaś są ludzie fikcyjni, będący jednak uosobieniem swojej epoki, czy grupy społecznej, do której należą. Nie trzeba dodawać, że szlachetność tych bohaterów nie ulega ani na jednej stronie powieści najmniejszej wątpliwości. Należy zwrócić uwagę, że z tej to powieści bierze początek znana historia z dowódcą, który żołnierza — za niespełnienie rozkazu — zmasakrował potem bohaterstwem — skazuje na rozstrzelanie, dekorując go uprzednio orderem i salutując jego czyn bohaterski.

Szeroki, barwny i żywy obraz anty-reżimu w okresie upadku i dziejów rewolucji aż do szczytowego nasilenia terroru rozciąga Aleksander Dumas — ojciec w olbrzymim, wielotomowym cyklu powieściowym, którego bohaterem jest słynny hrabia Cagliostro (Józef Balsamo). Cykl ten, obejmujący pięć powieści (niektóre z nich po kilkanaście tomów): „Pamiętniki lekarza”, „Naszyjnik królowej”, „Anioł Pitou” i „Kawaler de Maison-Rouge” — daje bardzo szczegółowy przegląd wszystkiego, co się działo we Francji w latach 1775—1793. Przed oczyma czytelnika przesuwa się niezliczona ilość osób, znanych z historii — wszystkie te postacie ożywają, przestają być tylko nazwiskami z podręcznika dziejów nowożytnych.

Pisane feljetonowo, w pośpiechu powieści Dumasa mało posiadają wartości artystycznej, chwilami robią nawet wrażenie tandety literackiej — zato ich wartość beletrystyczna jest ogromna. Napiecie, dynamika akcji, żywiołowość opowiadania, barwność charakterów, niesłabnące ani na chwilę przez cały ogrom tomów, nie tylko pochłaniają czytelnika, tak, że bierze ciagle tom po tomie, ale wbrew jego woli nieraz — wraz z sensacyjną fabułą nasycają go takim ogromem materiału historycznego z epoki rewolucji francuskiej, jakiegoby nigdy nie zdobył w szkole, a nawet i nie pragnął wcale zdobyć.

Niewątpliwie dziś, przy dzisiejszym stanie wiedzy, historyczna strona powieści Dumasa przeważnie staje się anachronizmem, zasadniczo jednak charakterystyki wielkich aktorów w wielkim dramacie rewolucji nakreślone są tak świetnie, tak się wciskają w pamięć i świadomość, że rozstawanie się z nimi pod wpływem autorytetu ostatnich wyników badań historycznych sprawić może ból prawdziwy.

Zupełnie nieoczekiwana i w swoim rodzaju niezwykła (gdy chodzi o danego autora) jest powieść Anatola France'a „Gdy bogowie pragną”. Trudno wprost uwierzyć, że to dzieło wyszło z pod pióra autora „Gospody pod Królową Gesią Nóżką” czy „Buntu Aniołów”. Bohater powieści — Ewaryst Gamelin, entuzjasta, fanatyk, nieomal mistyk rewolucji i jej groźnego, ale koniecznego, zbawczego (!) narzędzia — terroru w niczem nie przypomina ani Sylwestra Bonnard, ani księdza Coignard, ani nawet pana d'Anquetile.

„Gdy bogowie pragną” zdumiewa bogactwem szczegółów archeologicznych, głęboką znajomością epoki, okazało się jednak, że świetny znawca książek i starożytności potrafi być znawcą dusz ludzkich w zasięgu ducha pewnej epoki, a i samą epokę potrafi odtworzyć znakomicie. Ale i w tej powieści łatwo poznamy prawdziwego France'a: typy ojca Bonifacego i dworaka-ateisty, ich yskusie o życiu, śmierci, Bogu i Przeznaczeniu są bliźniaczo podobne do dysput, prowadzonych w gospodzie pod Królową Gesią Nóżką. I jak tam, tak i tu nad wszystkim unosi się atmosfera największej mądrości, której źródłem i celem jest miłość człowieka.

W literaturze angielskiej na uwagę zasługuje przede wszystkim Dickens „Powieść o dwu miastach”. Zdawałoby się, że powieść odtwarzająca wstrząsające dzieje terroru, pokaże nam jakiegoś nowego, innego Dickensa, niż ten, którego kochamy za „Noc wigilijską”, za wzru-

szaające dzieje Davida Copperfielda i Olivera Twista i którego tak lubimy za „Klub Pickwicka”. A przecież i w „Powieści o dwu miastach” mamy z jednej strony wspaniały, pogodnie rozbrzmiewający nawet w wirze burzy dziejowej, humor dickensowski, z drugiej zaś nade wszystko wynosząc miłość człowieka, każącą człowiekowi samotnemu oddać swe życie za innego, którego z życiem wiąże rodzina; ośłoda zaś ginącego (Anglika) jest wizja świetnej przyszłości ojczyzny, której potęgą będzie tem większa, im więcej będzie miała zdolnych do poświęceń obywateli.

W literaturze polskiej o rewolucji francuską zachęca Reymont w swym „Roku 1794”. Autor zaś „Ostatnich Rzymian” i „Tiary i korony” — Teodor

Jeske-Choiński poświęcił wielkiemu tematowi całą trylogię: „Błyskawice”, „Jakobini”, „Teror”.

Rewolucja rosyjska siłą rzeczy per analogiam musiała zainteresować pisarzy rosyjskich dziejami swej poprzedniczki z końca w. XVIII. W literaturze sowieckiej Guber w powieści „Miesiąc mgieł” — bardzo obiektywnie, zdala od wszelkich kryteriów społeczno-politycznych, odtworzył obraz rozkładania się porządku rewolucyjnego i objęcia władzy przez Napoleona. Sylwetki Bonapartego, jego braci, członków dyktatoratu, Bernadotte'a, są wprost świetne, z wielkim napięciem dramatycznym przedstawione też zostało historyczne posiedzenie 19-go brumaire'a.

Szapowalenko w „Roku 1801” w bar-

dzo nieudolny sposób starał się zaktualizować walkę powstańców rojalistycznych z Dyktatoratem, nadając jej kształty rosyjskiej wojny domowej z lat 1918—20.

Na emigracji M. A. Aldanow szereg wstrząsających momentów historycznych i wspaniałą galerię wielkich postaci wskrzesił z ogromnym talentem beletrystycznym i dramatycznym w „9 thermidora”, „Djabelskim moście” i „Spisku”. W jego powieściach szczególnie silnie uderza (artystycznie dość szczęśliwie i bez przesady przeprowadzona) analogia między dwiema rewolucjami: francuską i rosyjską.

p. t.

Potworki w świecie owadów

(Z zagadnień teratogenji i teratologii bezkręgowych)

Wśród nieprzeliczonej ilości ciekawych zjawisk przyrodniczych zachodzących na ziemi, napotykamy cały szereg zjawisk, przewyższających w swej istocie najbardziej wybujałe fantazje umysłu ludzkiego. Przyrodnik — ten wieczny podpatrywacz natury, musi być przygotowany w swych badaniach na wszystko, ponieważ przyroda w swej pomysłowości, jest niewyczerpaną krynica zjawisk, zachodzących tak w świecie organicznym jak i nieorganicznym.

Pozatem nauki przyrodnicze, jakkolwiek osiągnęły w ostatnich czasach świetną formę rozwoju, mają przed sobą jeszcze szerokie pole do działania, które nie ustanie tak długo, jak długo będzie istniało życie na ziemi.

W niniejszym artykule pragniemy poświęcić kilka słów teratogenji i teratologii bezkręgowców, a w szczególności owadów. Teratogenja i teratologia zajmują się badaniem potwornych form organizmu, przyczyną ich powstawania, oraz badaniem wszelkich pokrewnych zjawisk towarzyszących anomaljom organizmów. Nauki te stanowią osobny dział morfologii, dział znajdujący się jeszcze w... powiśkach. To też jeżeli chodzi o zboczenia w organizmach bezkręgowych nie są one na ogół szerzej znane, choćby z tego względu, że badania morfologiczne, anatomiczne, embriologiczne i fizjologiczne bezkręgowych przedstawiały większe trudności aniżeli badania z tych dziedzin w odniesieniu do zwierząt kręgowych.

Niemniej przeto są one bardzo ciekawe, a przy dzisiejszym stanie technologii przyrodniczej badania te są ułatwione i znacznie udostępnione.

Badania nad potwornością form organizmów zwierząt bezkręgowych, zostały zapoczątkowane stosunkowo niedawno, co należy tłumaczyć tem, że bardziej zajmowały umysły przyrodników anomalje organizmów zwierząt kręgowych i ludzkich.

Można wymienić zaledwie kilka nazwisk uczonych, którzy zajmowali się teratogenją i teratologią bezkręgowych, jak Rabaud, Bateson, Leuckart, Vajdovsky i in., jednak prace ich ograniczały się jedynie do wykazania pewnej ilości potwornych form organizmów robaków, mięczaków, czy owadów, celem podkreślenia i analogji podobnych zjawisk u zwierząt kręgowych.

Dopiero w ostatnich latach wzrosło wśród przyrodników większe zainteresowanie się anomaljami organizmów bezkręgowych i badania w tym kierunku wykazują poważny już dorobek naukowy.

Dociekania nad teratologią bezkręgowych zapoczątkował na większą skalę francuski uczoney ks. Cappe de Baillon, który wyniki swych prac i badań nad anomaljami organizmu owadów ogłosił w dziele pt. „Recherches sur la teratologie des insectes”, Encyclopédie

Entomologique VIII., wydanej w Paryżu w 1927 roku. Ciekawa ta książka jest bezprzecznie zapoczątkowaniem zakrojonych na wielką skalę badań teratogenicznych i teratologicznych, dających pole do popisu zoologom.

W książce swej ks. Cappe de Baillon, rozpatruje embriologję potworów złożonych (podwójnych) u owadów, oraz zjawiska wielotwórczości, na podstawie swych badań nad owadem wschodnio europejskiego pochodzenia Carausius morosus, dającym się łatwo hodować w laboratorium.

Przyczyny anomalji organizmów zwierzęcych mogą mieć swe źródło albo w zdwojonym aparacie jądrowym oocytów, czy zespoleńiu się wewnętrzno jajnikowym oocytów poprzednio samodzielnym, czy też gdzie indziej, w zależności od typu zwierzęcego.

Potwory spotykane wśród Carausius, dzieli autor na podstawie infortologii zewnętrznej ich okolicy głównej (skąd bierze się początek rozwojowych form anormalnych u Carausius), na trzy kategorie zarodków: nieprawidłowych, asymetrycznych i symetrycznych. Pierwsze — zarodki nieprawidłowe, są te u których nie można oznaczyć, czy potworny kompleks organów składa się z dwu czy trzech osobników, nie można oznaczyć przynależności danego organu do tego czy innego osobnika, wreszcie — zarodki nieprawidłowe posiadają zawiązki różnych organów, umieszczone nie w swoim miejscu, np. oko umieszczone z boku ciała itp.

Do zarodków asymetrycznych zalicza autor potwory o dwu głowach różnowartych, tzn. takich z których jedna jest wykształcona zupełnie, druga zaś tylko częściowo. Dzieje się to przez przyłączenie do jednej głowy, mniejszej lub większej części płatu przedgłowego głowy drugiej, stąd też powstające dziwolagi posiadają nieparzystą ilość oczu, różków itp.

Zarodki symetryczne przedstawiają potwory o dwu głowach całkowicie rozwiniętych, przyczem rozwój ten stopniuje się, począwszy od rozdwojenia się różków, oczu, otworu gębowego, a kończąc się na powstaniu dwu odrębnych głów, a nawet odnóży tułowiowych. Czasem występują jeszcze nieparzyste różki pojedyncze wspólne dla obu głów, i umieszczone symetrycznie. Tylna część potwora podwójnego nie rozwija się wcale, lub rozwija się bardzo późno, skutkiem czego występują u Carausius dziwaczne niedorozwinięcia okolicy odwłokowej.

Poza temi trzema głównymi kategorjami zarodków, spotykamy jeszcze anomalje indywidualne, tj. potwory o zboczeniach pewnych organów, czy okolic ciała. Tak więc rozróżnia ks. Cappe de Baillon, w anomaljach indywidualnych tzw. „atrofje”, tj. potwory podwójne zredukowane jedynie do głowy, formy bardzo dziwaczne i makabryczne, dalej formy o nierównomiernym rozwoju poszczególnych części

ciała i formy zlewne powstałe przez zrostanie się dwu organizmów w jeden twór pojedynczy.

Następnie przechodzi autor do kolejnego rozpatrzenia stadiów larwowych i stadium owada doskonałego. Okazuje się, że szereg cech teratologicznych u zarodków, nie występuje w stadium larwalnym, lecz zanika, — zaś wielka ilość larw o cechach wybitnie anormalnych ginie w początkowych okresach swego życia.

Podobnie jak zarodki, dzielimy larwy na trzy kategorie: larwy nieprawidłowe, asymetryczne i symetryczne, to samo tyczy się owadu doskonałego, z tą tylko różnicą, że owad doskonały zatracca pewne szczegóły swej podwójności (silnie występujące w stanie zarodka czy larwy), do tego stopnia, że podwójność potwora zaznacza się jedynie przez pewne wypukłości na grzbiecie, nadliczbowe oko czy też swoiste ułożenie pasm barwowych. Rzadziej występuje silniej uwidoczniiona podwójność.

Genezy powstawania form potwornych u owada Carausiusa, dopatruje się autor w jajach anormalnych, a więc posiadających np. podwójne mikropyle, tj. wydłużony bliznowaty rowek na zewnętrznej powierzchni osłony jajka, po stronie odpowiadającej grzbietowej okolicy przyszłego zarodka. Jaja takie nazywamy złożonymi i przeważnie dają one początek podwójnym potworom. Dalej jaja pozbawione mikropyle, oraz jaja o dwu przykrywkach umieszczonych na przeciwnych biegunkach.

Jeżeli chodzi o objawy życiowe zaobserwowane u potworów, to te mają inny przebieg u larw, inny zaś u owadów doskonałych.

Te ostatnie, jak wspomniałem, mało różnią się zewnętrznie od owadów normalnych, stąd też ich objawy życiowe mają przebieg jak u owadów normalnych. Oczywiście, że anomalje organów, odbijają się na owadzie, wpływają np. na krótszy okres życia potwora, niż owadów normalnych odbijają się na ich płodności itp. Gorzej ma się rzecz u larw. Zniekształcenia i zboczenia ich organów wpływają na to, że potwory larw nie mogą się poruszać i odżywiać, lub wykonują te czynności z nadzwyczajną trudnością.

Tak przedstawiają się w ogólnym zarysie, wyniki badań ks. Cappe de Baillon'a. Rozumie się, że nie wyczerpują one zagadnienia, bo odnoszą się jedynie do badań podwójnych potworów Carausiusa, niemniej przeto śmiało możemy je nazwać podwaliną pod rozwój teratologii bezkręgowych, który to dział morfologii otwiera pole do dalszych bardzo ciekawych badań.

TADEUSZ KWAŚNIEWSKI.

**Daj grosz
na L.O.P.P.**

Biecz miasto starych pamiątek

Z pośród licznych miast, które za czasów dawnej Rzeczypospolitej wybitną odgrywały rolę, a dziś spadły do poziomu ubogich miścin, Biecz najgodniejszy jest bezwątpienia, by przypomnieć jego świetną historię. Niegdyś stolica „ziemi bieckiej”, siedziba starostwa grodowego i wyższego sądu prawa magdeburskiego (dla sołtysów i wójtów) trudna do zdobycia warownia, zasługiwał w całej pełni na miano „małego Krakowa” (parva Cracovia) jak go czasami dawni autorowie nazywają. Biecz jest miastem starożytnym, którego początki giną w pomroce dziejów a miejsce faktów i dat historycznych zastępuje podanie o zbójniku Biezu, który pochwycony i na śmierć skazany wyprosił sobie darowanie życia objętnicą założenia miasta¹⁾

Pierwsze karty uwierzytelnionej historii Bieczy łączą się z wypadkami ciał miasta bardzo smutnymi: w roku 1125 zostaje Biecz zdobyty przez księcia przemyskiego, w roku 1240 złupiony przez Tatarów i od tego czasu niemal bez przerwy niepokojony bywa przez wrogów przeróżnych, którym jednak na ogół zwycięsko stawia czoło, jak na nadgraniczną warownię przystało.

Biecz był miastem królewskim. Wprawdzie w roku 1302 Wacław król polski i czeski oddał go w zamian za wieś Kamieniec (późniejszy Nowy Sącz) biskupowi krakowskiemu Muskacie, ale ten nie długo cieszył się posiadaniem miasta, gdyż już w roku 1312 Łokietek odebrał go za karę z powodu ustawicznych intryg Muskaty. Odtąd aż do chwili upadku Rzeczypospolitej był Biecz w rękach królów polskich, którzy opiekowali się miastem za pośrednictwem starostów i doprowadzili miasto do prawdziwego rozkwitu.

Ogólnemu rozwojowi miasta sprzyjały też warunki geograficzne: położone niedaleko od węgierskiej granicy potrafiło od swych dostojnych właścicieli uzyskać liczne przywileje, dzięki którym wszystkie drogi handlowe przemusowo w Biezu się krzyżowały, co zapewniało miastu dobrobyt i rozwój ekonomiczny. Jest wówczas Biecz miastem bogatym, słynącym z rękodzieła, które zorganizowane było w jedenaście cechów a to: piekarzy, rzeźników, szewców, krawców, kuśnierzy, tkaczy, sukienników, płócienników, garncarzy, kowali poza tym cech „wielki” czyli mieszany, w którym zorganizowane były inne zawody, zbyt mało rozwinięte, by mogły tworzyć cechy odrębne.

W roku 1450 Kazimierz Jagiellończyk zezwala miastu na założenie blichu do bielienia płótna, za co miasto ma wpłacać rocznie postawę (84 łokci) płótna bielonego.

W parze z rozwojem przemysłu i dzie i rozwój handlu dzięki przywilejom zwalniającym Bieczan od niektórych opłat (np. cła w Wojniczu), ustanawiającym w mieście jarmarki i prawo składu.

Do ogólnego dobrobytu przyczynił się też niewątpliwie przywilej z roku 1569, w którym Zygmunt August na prośbę mieszczan zakazuje żydom nabywania dóbr dziedzicznych i osiedlania się w mieście, oraz sprzedawania towarów w czasie jarmarków w Biezu i pod Bieczem. Już w roku 1583 skorzy stali Bieczanie z dobroczynnego przy-

wileju i wypędzili z miasta żyda, pobor-
cę cel.

W roku 1361 przenosi Kazimierz Wielki Biecz na prawo niemieckie (magdeburskie). Odtąd zarząd miasta spoczywa w ręku rady miejskiej wybranej z pośród miejscowego patrycjatu, na czele której stał dziedziczny wójt.

Rada zajmowała się sprawami wewnętrznymi miasta, przestrzeganiem porządku, nadzorem nad fortyfikacjami, przestrzeganiem zachowywania statutów cechowych, przepisów handlowych itp. do rady należał również zarząd majątkiem gminy, który był wcale znaczny (np. w XVI w. własnością Bieczy była wieś Męcina).

Drugą instytucją miejską był sąd ławniczy, który rozpatrywał sprawy między mieszczanami.

Ogólny nadzór nad samorządem oraz sądownictwo w sprawach gardłowych należało do starosty, który pełnił w mieście funkcję namiestnika królewskiego.

Biecz posiadał niegdyś wielkie znaczenie militarne. Pogranicze węgierskie w dawnych czasach było terenem ustawicznych walk, wystarczy wspomnieć napad Macieja Korwina, który w perzynę obrócił wiele wsi i miast Podkarpacia, a oprócz tego masę pomniejszych napadów o których historia wspomina tylko na marginesie.

Na straży niebezpiecznego odcinka stały drobne górskie zameczki jak Czorsztyn, Niedzica, Ryty, Żmigrod, Odrzykoń, Golesz, ale główną rolę w czasie obrony odegrać miały leżące w drugiej linii dwa grody sądecki i biecki. Podanie przypisuje fortyfikacje Bieczy królowej Jadwidze, ale prawdopodobniejszym jest, że już Kazimierz Wielki otoczył miasto murami.

Fortyfikacje Bieczy były wspaniałe: prócz murów wysokich, wału i fosy wypełnionej wodą z rzeczki Binarówki, szesnastie baszt broniło miasta, w murach było dwie bramy wjazdowe i sześć furtok dla pieszych przy każdej z nich mostek zwodzony i strażnica.

Według ordynacji Zygmunta Starego z roku 1515, w nocy mają być bramy zamknięte a otworzyć je wolno tylko staroście i to w ważnym wypadku lub podstaroście (ale tylko furtkę) poza tym nawet służbie grodzkiej otwierać nie wolno. Ostrożności te były tembardziej uzasadnione, że w pobliskich górach ukrywały się liczne bandy opryszków tzw. Beskidników, którzy mogli podstępnie wdrzeć się do miasta i złupić je.

Okres ustawicznego pogotowia wojennego przeszedł Biecz z początkiem XVII w., kiedy to spodziewano się napadu Betlem Gaborra, w roku 1618 nakazał król w obawie napadu zarządzać ściągki pograniczne, w następnym roku pod miasto zbliżają się Kozacy, a w r. 1622 trębacz czuwa na wieży ratuszowej, gdyż grozi nadejście wojska księcia siedmiogrodzkiego. Stan wojenny skończył się jednak w tymże roku, gdy cesarz austriacki zawarł pokój z Betlem Gaborym.

Równocześnie z ogólnym rozwojem miasta nadszedł rozwój kulturalny i społeczny. Miasto posiada szkoły — tzw. akademicką: jest to jak gdyby kolonia uniwersytetu krakowskiego, który tam wysyła swych bakałarzy. Dostęp do nauk wyższych ułatwia fundacja Marcina Kromera, który od roku 1568 zapewnia dwu uczniom z Bieczy utrzyma-

nie w czasie studiów na uniwersytecie krakowskim.

Ma Biecz kilka kościołów. Klasztor Norbertanek przy kościele Św. Barbary, ma wreszcie szpital Św. Ducha założony przez mieszczan w roku 1395, który królowa Jadwiga hojnie obdarowała.

Z czasem jednak to bogate i świetnie zapowiadające się miasto zahamowało się w swoim rozwoju, a później staczając się po równi pochyłej wpadło w nędzę w jakiej do dziś jest jeszcze pogrążone. Powody upadku Bieczy są te same, które spowodowały zubożenie wszystkich miast polskich w XVI w. Łupiony przez przeciągające wojska swoje i obce, gnębiony przez starostów, którzy niewiele dbali o dobro królewskie zaczął ekonomicznie podupadać i wyludniać się. W roku 1662 Biecz liczył tylko 462 mieszkańców.

Równocześnie zesłabł duch wojenny u mieszczan komisje królewskie znajdowały w „działach, hakownicach, ołowiu i prochach braku wielkie”, a w murach sami mieszkańcy dlabali dziury ażeby „porobić ujścia dla tranzytów”.

Nic dziwnego, że w takich warunkach Biecz nie mógł już stawiać skutecznie czoła wrogowi, w roku 1637 splądrowali miasto Szwedzi, później (rok 1657) Rakocy a w roku 1709 nawiedziła miasto straszna zaraza, z której według przesadnych wieści tylko dwoje ludzi miało uciec z życiem. W r. 1770 kropkę nad i położyli Moskale, którzy w pogoni za Konfederatami złupili Biecz doszczętnie. W roku 1812 według opisu „cyркуlu jasielskiego” (w Gazecie Lwowskiej) mieszczanie Bieczy są bardzo ubodzy, mieszkają w drewnianych domach, a z dawnego przemysłu zostały tylko blichy na Zaslawiu i przemysł garncarski.

Od ostatecznej ruiny powstrzymują Bieczan liczne „fundusze”: prócz wspomnianego już przezemnie stypendjum Kromera istnieje fundacja królowej Jadwigi z r. 1395 zapewniająca 40 ubogim mieszczanom utrzymanie w szpitalu, fundacja Ks. Bochniewicza (z roku 1808), która nakazywała procenty od 60.000 koron rozdzielać między 50 wylosowanych mieszczan, Krzemieńskiego dająca niezamożnym dziewczętom wiano w wysokości 21 reńskich i Tumidajskiego (2 stypendia po 80 kor. dla uczących się Bieczan).

Jednym słowem Bieczanie, choć osłabście ubodzy, w każdej niebezpieczniejszej sytuacji życiowej mieli oparcie o jakiś zbawczy „fundusz”, co podobno miało ich w tem większym pogrążyć lenistwie tak, że powstało nawet przysłowie „rozpuścił się jak dzia-dowski Biecz”.

Po wojnie skutkiem dewaluacji niektóre fundacje wielce ucierpiały, inne zaś szczególnie oparte o grunta, zachowały pełną wartość, ponieważ jednak uprawnieni do korzystania z nich są tylko mieszkańcy Bieczy (a więc w odrębnie dawnych murów) jest to zapewne jedyne w Polsce miasto, którego mury mają dziś nie tylko zabytkowe znaczenie.

Ten szczególny przywilej mieszkańców „miasta” wywołuje silne antagonizmy z ominiętymi przez fundacje „przedmieszczanami”.

Ślady dawnej świetności znajdujemy w licznych zabytkach przeszłości, jakie do dziś ostały się jeszcze w Biezu i jego najbliższej odległości. Według chronologii pierwszeństwo oddać

należy ruinom starego zameczku, które w roku 1877 odkopano na jednym z pagórków w pobliżu miasta. Tradycja razwała to zameczkiem Św. Jadwigi, ale prawdopodobnie jest to budowla znacznie starsza, przy której kiedyś Biecz mógł powstać jako osada służebna.

W samym Biezu prócz murów obronnych, które potężnymi szczytami wstają tu i ówdzie owal dawnego miasta, widać resztki okrągłych fundamentów zburzonych baszt i zasypanych fos. Z całych fortyfikacji pozostała już dziś w stanie nienaruszonym jedna tylko baszta z przylegającą do niej kamienicą (strażnicą?).

Naprzeciw baszty po przeciwnej stronie ulicy stoi na górze fara biecka. Kościół to piękny, stary, zbudowany w stylu gotyckim, wewnątrz prześliczne prezbiterjum, z rzezbami Wita Stwosza w głównym ołtarzu i pięknymi rzeźbionymi stallami po bokach.

Późniejsze od reszty budowli są cztery kaplice, z których najpiękniejsze są Sulkowskich, Wielopolskich i Kromera, w kaplicach, jak i pod nawami kościoła znajdują się krypty z resztkami trumien.

W pobliżu na krańcach dziedzica Kościelnego stoi wieża samotna, — resztką kościoła św. Barbary, który już nie istnieje. Jak wynika z dokumentów, było dawniej jeszcze kilka kościołów z których dziś już ani śladu nie pozostało (np. kościół Św. Ducha, Św. Jadwigi).

Przy ulicy wiodącej od fary do rynku stoi dom narożny, zwracający uwagę okratowaniem okien i starożytnym wyglądem, jest to tzw. Kromerówka, dom w którym urodził się i mieszkał Marcin Kromer, sławny polski kronikarz.

Ponad całem miasteczkiem króluje wysoka wieża ratuszowa, która niegdyś nakryta była barokową kopułą, ale po ostatnim pożarze zastąpiono ją płaskim dachem. U podnóża wieży tuli się skromny jednopiętrowy ratusz, dzięki licznej a niedbałym przeróbkom pozbawiony wszelkiego stylu, przypominający ubogą kamieniczkę czynszową.

Na południowo-wschodnim krańcu dawnego miasta, tuż przy murach znajduje się (do dziś zamieszkały) szpital Św. Ducha. Starożytność budowli podkreślają gotyckie obramowania drzwi i łukowate sklepienia, poza tym również ucierpiał on od niedbałych przeróbek.

Niedaleko szpitala, ale już za murami miasta, znajdował się zamek królewski z czasów Jagiellonów. Nie konserwowany uległ zniszczeniu tak, że w roku 1642 był już ruiną. Wtedy to starosta biecki Jan Wielopolski odbudował go i sprowadził doń zakon Reformatorów, którzy mieli zwalczać szerzący się w okolicy arjanizm. Z nieistniejących już zabytków o których jednak warto przypomnieć, wymienię dom grodowy, budynec, którego ruiny istniały jeszcze z końcem ubiegłego stulecia. Niegdyś rezydował tam sąd starościński w sprawach gardłowych, w pobliżu znajdowała się baszta — więzienie z podziemnymi kazamatami, gdzie według podania miała być jedyna w Polsce szkoła katów.

Egzekucje odbywały się wówczas publicznie. Na ratuszu był specjalny dzwon zwołujący mieszkańców na miejsce kaźni, dzisiaj jeszcze wskazują na wzgórzu po drodze do wsi Binarowej kapliczkę, pod którą odbywały się dawniej egzekucje.

R. REINFUSS.

¹⁾ Marcin Bielski w swej kronice wywodzi nazwę od „Biessów” ludu, który miał rzekome niegdyś osiedlić się na Podgórzu.

Wojna na lwowskim ratuszu

Bohaterską odwagę, męstwem i krwią własną zdobył mieszczanin lwowski dla swego ukochanego miasta szlachectwo, którem obdarzył je dekretem królewski z roku 1658.

Zasłużyło sobie rzetelnie patriotyczne mieszczaństwo lwowskie na to zaszczytne odznaczenie! W ciężkich czasach wojen i oblężeń Lwowa przez hordy kozackie i tureckie, oni trwali niezłomnie na swym posterunku, własną pierśią zagradzając drogę w głąb Rzeczypospolitej.

Gdy jednak ten „szary człowiek” świecił zawsze przykładem ofiarności i odwagi, — bogaci patrycjusze, a co gorsza, sami sławetni rajcowie i ławnicy dbali zazwyczaj więcej o własną skórę, uciekając z miasta, ilekroć zagrożono im niebezpieczeństwo oblężenia.

Wprawdzie rada miejska uchwała z dnia 17 sierpnia 1648 wyraźnie zabrania wszystkim mieszkańcom opuszczać miasto w razie grożącego oblężenia, a to „pod utratą czci i konfiskatą majątków”... ale uchwała ta rychło poszła w zapomnienie.

Po klęsce pod Piławcami, przed bitwą pod Beresteczkiem rajcowie miejscy pierwsi rzucają się do ucieczki, — ku niesłychanemu oburzeniu pozostałych bohaterskich mieszczan, domagających się surowej kary na „ujeżdżających”. Kończyło się jednak stale na pogroźkach. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, — uchodźcy wracali; przed utratą czci i konfiskatą majątków zabezpieczali się, składając większe czy mniejsze ofiary pieniężne na rzecz wznieszonego i zubożałego miasta.

Sprawa przybrała poważniejszy obrót dopiero w roku 1672, kiedy to, na wieść o upadku Kamieńca, we Lwowie wszystko rzuciło się do panicznej ucieczki, — a pierwszy, zły przykład dała znowu rada miejska, — z której pozostało zaledwie trzech rajców: powszechnie szanowany Bartłomiej Zimorowicz, Jan Gasiorkowicz i Jan Sommer.

Wówczas to doszło do prawdziwej rewolty oburzonego mieszczaństwa lwowskiego, której historię znajdujemy w znakomitem dziele śp. Jana Ptaśnika pt. „Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce”.

Asumpt do tego dał sam Zimorowicz, który wiązany węzłami przyjaźni i pokrewieństwa z wieloma znakomitymi uchodźcami, ułatwiał im powrót do miasta i wprowadzał ich z powrotem w urzędowanie.

Oburzyło to nawet kolegów Zimorowicza w urzędzie, Gasiorkowicza i Somnera, którzy z nim razem przetrwali męźnie całe oblężenie miasta przez Turków.

Widząc, że Zimorowicz uzurpuje rządy na ratuszu dla siebie i dla protęgowanych przez niego uchodźców, — Gasiorkowicz, w oparciu o zrewoltowanych mieszczan, oraz o większość ławy, tworzy drugi rząd „buntowniczy”. I ratusz lwowski ogląda wówczas jedyne w jego historii widowisko: w zwykłej izbie radzieckiej urzęduje Zimorowicz wraz ze swą radą, złożoną z uchodźców, — na drugim piętrze natomiast urzęduje Gasiorkowicz w tzw. łonarii, czyli w izbie skarbowej, na czele swego rządu rewolucyjnego.

Stanowisko tego ostatniego było o tyle silniejsze, że miał on klucze od skarbcza, ścigał podatki od mieszczan

wyplacał pensje służbie miejskiej, gdy tymczasem „uchodźcy” nie mieli żadnych źródeł dochodu.

Miał co prawda Zimorowicz — poza osobistą powagą i szacunkiem, jakim się cieszył w mieście — jeszcze jeden pożyteczny atut: reskrypt królewski, usprawiedliwiający uchodźców, a nakazujący mieszczanom, by ich z powrotem do miasta przyjęli i zwrócili im skonfiskowane dobra i urzędy. Uparty jednak Gasiorkowicz nie chciał reskryptu tego wogóle nawet czytać, a temniej treści jego przyjąć do wiadomości.

Rozpoczęła się tedy wojna, w której zbuntowana rada miała od samego początku pozycję dużo silniejszą, zwłaszcza, że stało za nią całe mieszczaństwo lwowskie. Nie pomagały groźby, protesty i skargi, — nie pomagały i prośby oraz próby pojednania, podej-

mowane przez Zimorowicza kilkakrotnie.

Dwie rady miejskie urzędowały obok siebie, wnosząc zupełną anarchję w życie miasta. Zimorowicz apeluje do kancelarii królewskiej o pomoc i interwencję. Reskryptem z dnia 20 stycznia 1673 nakazuje król Michał Korybut ponownie przywrócić uchodźców do ich praw i majątków, w miesiąc później poleca przeprowadzić nowe wybory do rady.

I tych reskryptów jednak Gasiorkowicz nie respektuje, — a kiedy delegat Zimorowicza domaga się wydania kluczy od skarbcza dla wyjęcia „requisitorum ad actum electionis spectantium”... posiadacz tych kluczy, a adherent Gasiorkowicza, rajca Sommer, stosuje metodę „biernego oporu”, „...lekarstwem się wymawiając”.

Nie pomogła nawet wysunięta przez „rząd uchodźców” propozycja złożenia mieszczanom kwoty 10 tysięcy talarów na koszty poniesione w czasie oblężenia.

W sprawie wdał się wreszcie osobiście król Michał, zapowiadając wysłanie do Lwowa specjalnej komisji z nieograniczonymi pełnomocnictwami.

Faktycznie też z końcem lipca 1673 zjeżdża do Lwowa wielki hetman Jan Sobieski i dnia 29 lipca wydaje specjalny dekret, rozgrzeszający „uchodźców”. W dekreście tym zaznacza, że w razie niebezpieczeństwa oblężenia mogą opuszczać miasto starcy, kobiety, dzieci i „viri togati”, (a więc dostojnicy miejscy).

Dekret ten przynosi wreszcie uspokojenie. „Buntownicy” skapitulowali, — a jedynym rezultatem tego blisko dwięciomiesięcznego zatargu były tylko jeszcze dalsze obniżenie powagi i znaczenia sławetnej rady miejskiej. (R.)

Wycieczka na Majorce

Po przybyciu na wyspę Majorce — królowę Wysp Balearskich — pierwszą myślą moją była wycieczka-pielgrzymka do „Cartuja de Valldemosa”, czyli do byłego klasztoru Kartuzów w miejscowości Valldemosa, gdzie Chopin z Georges Sand i jej dziećmi spędził pamiętną zimę 1838 r. i skąd dwa lata przedtem, w 1836, wygnano mnichów. Dzisiaj, trzy zajmowane przez genialnego muzyka i wielką francuską autorkę cele klasztorne, odświeżone, zamienione zostały na małe muzeum, poświęcone pamięci tych dwojga nieśmiertelnych przyjaciół. Jest ono celem licznych wycieczek napływających na Majorce z wszystkich stron świata turystów, o czym świadczy księga, do której wpisują swe nazwiska zwiedzający muzeum goście.

Z rzadką uprzejmością, los, na wstępie mojego tutaj pobytu, podsunął mi sam okazję do pożądaney wycieczki za pośrednictwem mego hotelarza, który zaproponował przyłączenie się do objażdżki po wyspie automobilem, obejmującej również Valldemose, gdyż właśnie brakowało szóstej osoby do utworzenia kompletu. Przyjmuję skwapliwie, tembardziej, że kolej, którą szczyty się Majorce, nie dojeżdża do Valldemosa, a wycieczki autocarami nie zdarzają się codziennie.

Chociaż pogoda niepewna, wyruszamy z Palmy około godziny 14-tej, kierując się ku północnej stronie wyspy (ma ona w swych najszerzych wymiarach: 76 klm. od północy ku południowi i 99 klm. od zachodu ku wschodowi). Rwieśmy szybko naprzód dzięki doskonałej maszynie, szoferowi i drodze, zrazu przez płaską część wyspy, długo ciągnącymi się z obu stron drogi plantacjami drzew oliwkowych, o dziwacznie, niesamowicie, czasami jakgdyby rozpacznie poskręcanych pniach, o tych cienkich, subtelnych w rysunku gałęziach, i z tem prześlicznym, szaro-zielonkawo-srebrnym mieniącym się listowiem, tak harmonizującym z szafirom południowego nieba. Lecz nie jest ono dzisiaj, niestety, szafirowem; pomimo to oceniamy całą piękność krajobrazu. Szofer nasz, typowy, zakochany w swej wyspie tubylec, szczerząc w uśmiechu białe zęby i przymrużając z lubością czarne, słoneczne oczy na każdy nasz objaw zachwytu, zwraca naszą uwagę na rozłożysty i nieprawdopodobnie poskręcany gruby pień oliwkowego drzewa, mówiąc z dumą: „olivo milenario”! (tysiącletnie drzewo oliwne),

Patrzmy na prastary, jak gdyby ze zmurszałego kamienia, lub z zastygłych kłębow szarej ławy wyciosany, w wielu miejscach podziurawiony pień, który jednak żyje, rodzi liście i owoce...

Po oliwkowych, ciągną się długim szeregiem plantacje migdałowe, w których właśnie odbywa się zbiórka migdałów. Kupujemy pokaźną ich ilość za jednego „peso”, dowiadujemy się, że migdały to bodaj najcenniejszy i najwięcej przynoszący produkt majorczański, i pędzimy dalej, w coraz bardziej zasnawający się stalowemi chmurami widnokrąg. Droga częstemi zakrętami zaczyna piąć się w górę i wnet Juanito wskazuje na zabudowany i wieżą kościelną strzelający szczyt jednego z licznych, widnych w perspektywie rozległej panoramy, wzgórz.

Valldemosa! Rozróżniamy wydłużony budynek klasztorny i skupione dookoła niego domy, przyozdobione tu i ówdzie kiściami palm i innej zieleni.

Zwiedzamy najpierw kościół klasztorny, niezbyt ciekawa, neo-klasyczna budowla z końca XVIII-go i początku XIX-go wieku, tak, jak i obecny budynek klasztorny i słuchamy, że „Cartuja de Valldemosa” została „fundada” w 1399 r. przez „Rey don Martin de Aragon”, który darował pałac swój mnichom, lecz że z niego zaledwie dzisiaj pozostały szczątki — szkoda! Każą nam jeszcze oglądać, co prawda o wiele ciekawszą, zakrytą, podczas kiedy pilno mi do przybytku Chopina!

Prowadzi nas do niego korytarz klasztorny, a przyjmują u wejścia dwie kobiety, majorczanki, stara i młoda, stróżki i ciceronki muzeum. Łamana francuszczyzna mówi nam, że oto jesteśmy w celi Georges Sand i prowadzi, na prawo, do oddzielonej małym korytarzykiem celi jej dzieci; ale gdzie celi Chopina? Znajduje się ona na lewo od celi Georges Sand, lecz że wszystkie trzy cele mają drzwi wychodzące do terasowego ogródka, przepelnionego, rosnącym w gruncie, w szeregach wazoników i pnącym się kwieciami, krzewami, drzewkami owocowymi, wchodzimy przezeń, pokropieni deszczem do celi Chopina. Nieco dłuższy niż szerszy, 4-5-metrowy pokój; odrazu wpada w oczy naprzeciw drzwi wchodowych stojące pianino.

...Tak jest, autentyczne pianino Chopina, grywał na niem przez cały czas pobytu na Majorce, gdyż duży, zamó-

wiony przez niego fortepian doszedł za późno z Palmy”.

Patrzę długo na poślótkę klawisze... i na poślótkę, oprawne w ramki i półkołem nad pianinem zawieszzone autografy kompozycji ułożonych tutaj — delikatnie zaznaczone główki nut o długich, pajęcznych nóżkach...

Na pianinie mały biust Chopina, jakieś stare skrzypce, wazonik z zeschniętymi kwiatami.

Tuż obok, na lewo, wisi obraz przedstawiający duży parowiec: „To na nim przyjechali i wyjechali z Majorcy Chopin i Georges Sand, jeden z pierwszych parowców wogóle”.

Spostrzegam mały kominek, taki jakis wydający się bezsilny wobec grubych, zapewne wilgotnych murów klasztornych, które miał ogrzewać, w dniu słotne, jak dzisiejszy, tylko nie letnie, lecz zimowe. Jakże Mu tu czasami musiało być zimno przy tym lilipucim kominku — a bardziej jeszcze może przy lilipucim, zimnem sercu towarzyszek, maskowanem długo, zbyt długo, słowami dyktowanemi bujną, egzaltowaną wyobraźnią literacką i zmysłami. Gdy spoglądam na zażawiony ogródek, — brzmia mi w uszach skarżące się bezradnym bólem osamotnienia, dźwięki. Kierując się ku niemu, zauważam małą, oszkloną szafkę z lalką ubraną à la 1830:

„Dar wnuczki Georges Sand, suknia lalki wykrojona jest z sukni i uszyta na wzór tej, którą babka jej nosiła tutaj”.

Stoi jeszcze w celi Chopina duży, nowy, lśniący fortepian, służący do corocznych festiwalów chopenowskich. — Czynię szybką rewję zawieszonych nad nim fotografii mistrzów fortepianu, którzy w festiwalach tych brali udział: — spostrzegam Ravel’a, Cortot, Rubinstein’a, Casellę; ale szkoda czasu, gdyż jeszcze muszę sobie dobrze wryć w pamięć widok z ogródka, który przecież taki sam być musiał sto lat temu... Pomimo deszczu, który rozpadał się na dobre, śpieszę jeszcze aż do wylotu ogródkowej platformy i patrzę na ciemny wąwóz górski z piętrzącymi się na prawo i lewo szczytami wzgórz, i otwierający się na perspektywę dalszych, szafirowych gór, — tak mało tu siedzib ludzkich, wawóz wydaje się prawie dziki, gdyby nie terasowo sadzone tu i ówdzie drzewa oliwne.

Czuje, że trzeba wracać — przebiegam jeszcze celę Georges Sand, która z pewnością nie niema wspólnego z celą, którą zamieszkiwała, jak również i celę

dzieci — obie świeżo, gustownie odmalowane i urządzone meblami krajowemi; w celi dzieci przykuwa wzrok nieduży portret Chopina o wzruszającym wyrazie. Obok na etażerze, biust Georges Sand.

Kupując u wyjścia z muzeum nieuniknione kartki, czuje, że ciągnie mnie ktoś za rękaw: — to nasz szofer, patrzy na mnie z niemyim wyrzutem w oczach i mówi najlepiej, jak umie po francusku: „Tous dans voiture“! Rzeczywiście, wszyscy moi towarzysze podróży siedzą już w automobiliu o zapuszczonym dachu i czytają ten sam niemy wyrzut w ich oczach — przepraszam najpiękniej, jak umiem, bez wewnętrznego żalu doskonałego, ani nawet niedoskonałego, i ruszamy dalej.

Oglądamy jeszcze pod parasolami resztki ruin zamku Miramar, skąd widok nieporównany, a dzwonki uciekających przed nami owiec, dopełniają legendowego nastroju... Miramar, to potężna postać średniowiecznego mistyka-filozofa, błogosławionego Ramona Lull, który już w XIII. wieku założył tutaj właśnie, pod protektorem ówczesnego króla Majorki Jaima II. swe słynne Collegium języków wschodnich — „Collegio de Linguas Orientales“, czyli poprostu pierwszą szkołę misjonarską świata chrześcijańskiego.

Zakupił tę połąć wyspy i aż do Valldemosy prawie ciągnące się grunta, wielki wielbiciel Ramona Lull, który wskrzesił na Majorce kult tego ostatniego, austriacki arcyksiążę Ludwik Sal-

wator Habsburg. Osiedliwszy się na Majorce w drugiej połowie ubiegłego stulecia, zmarł na niej przed niedawnymi laty, ustanawiając swymi spadkobiercami kilka dawnych rodów majorczańskich, by ziemię w ich zostały rękach. To też pamięć jego czczona jest i wielbiona przez mieszkańców wyspy; zbudował on również szereg dróg w tej górzystej jej części (szczyt Teix ma 1.084 m. wysokości), folwarków „finca“, z pięknymi ogrodami, z których jeden w Alfabji zwiedzamy i wznosił kaplicę na cześć Ramona Lull¹⁾.

Pniemy się śmiałymi zakrętami coraz bardziej w górę, chwilami przechodzą nas ciarki, patrząc na przepaść pod naszymi stopami, ale Juanito zwraca ciągle naszą uwagę na dalsze widnokręgi rzeczywiście coraz rozleglejsze i wspanialsze, tembardziej, że deszcz ustaje i już z poza chmur przeblyskuje i złoci całą panoramę — słońce! Jakoż i humory nam się poprawiają, a w prawdziwym entuzjazmie wprawia nas widok kilku rosnących opodal drogi, na samej krawędzi przepaści, drzewek cytrynowych, pokrytych złocistymi owocami, okapujących brylantowymi kroplami niedawnego deszczu. Hiszpan nasz zatrzymuje wóz, schodzi i zaczyna energicznie zrywać cytryny — gdy wstrzymujemy go w szlachetnym zapale, odpowiada: „en

1) Błogosławiony Ramon Lull leży pod ślicznym grobowcem, w katedrze palmeńskiej, jednej chyba z najpiękniejszych katedr na świecie.

Espana todos para todos Spanos“ — (w Hiszpanji wszystko dla wszystkich Hiszpanów), a kiedy mu mimiką wyrażamy, że my Hiszpanami nie jesteśmy (w sześć osób przedstawialiśmy 5 narodowości, raczej północnych), odrzeka, że on jest Hiszpanem, a co jego, to i nasze! Poczem wyciąga okazały nóż, który mu zapewne okazynie służyć musi do osobistych porachunków, rozkrawuje cytryny i obdarowuje nas niemi szczerze. Zwilżamy z rozkoszą, chociaż krzywiąc się trochę, zeschnięte pędem powietrza, wargi i podniebienia.

A potem nastąpiła upajająca, niezapomniana powrotna jazda. Juanito śpieszy się widać, bierze z rozmachem nieustannie po sobie następujące zakręty staczającej się w dół drogi, tak, że daje nam to chwilami wrażenie jakiegoś zawrotnego karuzelu. Wicher ciepły, a taki świeży, ożywczy, i pachnący, jakże pachnący, chłoszcze nam twarz, tańczy z włosami jakąś wścieklą tarantellę (skapitulowaliśmy z kapeluszy, trzymając je oburącz na kolanach!). Dopiero co skąpane, a następnie przygrzane słońcem roślinność i drzewa, ślą nam ze stoków gór fale różnorodnych balsamów, niektóre tak silne, że aż odurzające. Nchłania my chciwie, z rozkoszą, te nie znane północnym nozdrzom naszym delicie powonienia i lecimy tak w złocistą, olbrzymią łuną zachodu, przez kraj z bajki, z przemożną radością życia w duszach.

Palma we wrześniu 1934 r.

TOURISTE

tyczące fizjografii dawnej Polski“. Pracę tę drukowano w Warszawie w 1888 r. w Pamiętnikach fizjograficznych t. III. W tomie XVI tych pamiętników drukowano drugą podobną pracę p. t. „Wypadki średnich spostrzeżeń dokonanych na stacjach meteorologicznych z okresów dziesięciolecia 1886—1895 roku“.

W Krakowie wydano również poważne prace z dziedziny klimatologii. Akademia Umiejętności drukuje w 1889 r. w 35 tomie Sprawozdań Komisji fizjograficznej pracę Mereckiego p. t. „Klimatologia ziem polskich“. Ten sam autor wydaje w 1899 r. w Warszawie drugą pracę p. t.: „Niedosyt powietrza w Królestwie Polskiem w zachodnich guberniach cesarstwa i w Galicji“.

We Lwowie wychodzi w 1898 r. praca prof. Szulca p. t. „Ogólny zarys stref klimatologicznych w Galicji“. Profesor Romer ogłasza swą pracę p. t.: „Geograficzne rozmieszczenie opadów atmosferycznych w krajach karpaccich“, a w 1906 r. pracę p. t. „Klimat ziem polskich“.

Przestudowanie dzieł z dziedziny klimatologii przekona Polaków o ważności i wartości tej gałęzi wiedzy. Klimat bowiem i człowiek są zawsze ze sobą ściśle związane. Życie każdego narodu, jego charakter, działalność gospodarcza i kulturalna, obyczaje i zwyczaje, życie codzienne, potrzeby i dążenia urabiają się i ustalają zawsze w walce człowieka z przyrodą. Na tem tle rozwijają się siły fizyczne, duchowe i umysłowe człowieka i narodu. Historia dowodzi na każdym kroku, że klimat gra pierwszorzędą rolę w rozwoju politycznej i gospodarczej potęgi narodów.

Niezajomość fizjografii własnego kraju prowadzi często na fałszywe drogi. Znajomość ta w Polsce nauczy nas szacunku i zaufania do własnego kraju, przekona nas, że klimat polski jest korzystny pod wielu względami, że ciśnienie powietrza w Polsce odpowiada potrzebom naszego organizmu, że stosunki nasze klimatyczne wywierają dodatni wpływ na naszą zdrowość. Studja nad higienicznym znaczeniem wiatrów dadzą nam również wiele praktycznych wskazówek do porównań naszego klimatu z zagranicą. A przedewszystkiem wiedza ta przyczyni się znakomicie do należytego ukształtowania się nowoczesnej duszy polskiej.

Dr. J. SKULSKI (Kraków).

WŚRÓD WYDAWNICTW.

Choromański po rumuńsku

Wkrótce ukaże się nakładem jednej z firm wydawniczych w Bukareszcie książka znanego powieściopisarza Choromańskiego p. t. „Zazdrość i medycyna“.

Przekładu dokonał prof. sławistyk Uniwersytetu Karola w Czerniowcach, dr. George Naudisz.

„MUZEUM“ ZESZ. IV. T. N. S. W. o kręgu lwowskiego wydaje czasopismo pedagogiczne „Museum“ poświęcone sprawom wychowania, nauczania i organizacji szkolnictwa.

Czwarty numer tego pożytecznego wydawnictwa przynosi szereg interesujących artykułów i rozpraw. A więc „Prywatne szkolnictwo średnie w Polsce“ p. Maksymiljana Tazbira, „Prywatne szkolnictwo średnie w Anglii i Niemczech“ dr. W. Gottlieba; dr. W. Olszawski pisze o „Prywatnym szkolnictwie średnim we Francji“ dr. R. Frycz „Fizyka i chemia w ujęciu nowych programów“. Dr. Ida Kotowa w artykule „O rewizję programów szkoły żeńskiej“, rozpatruje kwestję zreformowanej nauki historii.

Numer uzupełnia sprawozdanie dr. J. Kijasa i M. Kosińskiego „Próba korelacji języka polskiego z biologią w klasie I gimn.“.

Cena kwartalnika wynosi 2.50 zł.

Dzieje klimatologii

Polacy pracowali skutecznie na wielu polach nauki, sława jednak polskich uczonych przebrzmiewała szybko, prace ich szły w zapomnienie, a obcy, zwłaszcza Niemcy, korzystali z tego stanu rzeczy i przyswajali sobie wyniki prac i badań polskich.

To też gdy w obecnych czasach dzienniki i radio ogłaszają codziennie biuletyny meteorologiczne i kwestja ta interesuje coraz więcej szerokie sfery każdego społeczeństwa, należy zapoznać się z historją rozwoju nauki o klimacie i przypomnieć Polakom, że ich przodkowie w pierwszej linii zasłużyli się na tem polu.

W Polsce uznawano oddawna znaczenie i ważność nauki i wiedzy meteorologicznej dla rolnictwa i przemysłu. Z początku rolnicy tworzyli na podstawie własnych obserwacji wiele trafnych przysłów i wskazań o klimacie, stały się one podstawą prac systematycznych, stworzono metody i zaczęto ujmować je w pewne ramy, zakreślając im cele naukowe, gospodarcze i zdrowotne. Wkońcu znajomość klimatologii podniesiono w Polsce do godności nauki, na ziemiach polskich urządzono pierwsze stacje obserwacyjne, a zagranicą za naszym przykładem zaczęła również pracować w tym kierunku.

Najstarsza nietylko w Polsce, lecz również w Europie, stacja obserwacyjna powstała we Wrocławiu na Śląsku, w czasie, gdy w krainie tej panowali jeszcze Piastowie. Początki tej stacji gina w niepamięci z powodu braku zapisków, jednak musiały przedstawiać się poważnie, gdy stacja ta mogła z końcem XVI stulecia dostarczyć Polsce wielu uczonych dla pracy w stacjach obserwacyjnych Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna, Poznania i Gdańska. W tym czasie rolnicy polscy wspierali wielce intensywnie rozwój nauki klimatologii i zakładali w swych dobrach liczne przy-

watne stacje obserwacyjne, zwłaszcza na kresach wschodnich.

Zamieszki wojenne i spustoszenia z tem związane zniszczyły wiele zapisków i dowodów pracy na tem polu. Stacje jednak istniały, nowe siły zawodowe kształciły się i to umożliwiło rozkwit stacji obserwacyjnej w Warszawie, której kierownictwo objął w 1779 r. ks. Bystrzycki, astronom króla Stanisława Augusta. Następstwo po nim objął profesor liceum warszawskiego Magiera. Oni to założyli i prowadzili stację u ujścia Bugu w Mikołajowie w 1809 roku, a niezadługo potem w 1812 roku trzecią większą stację w Kijowie.

Prace obu tych klimatologów zebrał i opracował W. Jastrzębowski w monografii p. t. „Karta meteorologiczna stolicy Królestwa Polskiego“.

Jest to najstarsza praca z dziedziny meteorologii w Europie. Jastrzębowski wydał również pracę w języku francuskim p. t. „Carte climatologique de Varsovie comme point central de l'Europe“.

Staszyc popierał bardzo wydatnie prace na tem polu i za jego inicjatywą ówczesny Prząd polski założył wiele stacji obserwacyjnych w różnych stronach kraju. Klęska rozbiorów przerwała tę pracę, jednak niezupełnie. Różne prywatne, a także państwowe stacje funkcjonowały przy pomocy rolników i przemysłowców polskich i to przyczyniło się do dalszego rozwoju tej gałęzi nauki. — W połowie XIX wieku posiadamy na ziemiach polskich 24 czynnych stacji obserwacyjnych, w Krakowie Towarzystwo Naukowe tworzy w 1864 r. Komisję fizjograficzną, która zakłada w pierwszym roku swego istnienia 12, a w 1865 r. 19 stacji meteorologicznych w samej Małopolsce.

W innych krajach Europy nie pracowano wówczas poważnie na tem polu. Wiedeń zakłada swą pierwszą stację obserwacyjną w drugiej połowie XIX wie-

ku, wzorując się na Krakowie. Wkrótce Niemcy stają do współzawodnictwa z nami, zasiewają wprost swój kraj placówkami obserwacyjnymi, odmawiając Polakom wszelkiego poparcia w tej dziedzinie.

To samo czyni rząd rosyjski. W 1886 r. zakłada pierwszy swą stację meteorologiczną, podrywając równocześnie istnienie placówek polskich. Jednak warszawskie towarzystwo dla popierania przemysłu i handlu i jego Sekcja II nie dopuściły do upadku polskich stacji i nie pozwoliły na zniszczenie dorobku polskiej nauki. Opierając się na ofiarności narodu polskiego, założono w tym czasie 29 nowych stacji obserwacyjnych, które funkcjonowały sprawnie pod kompetentnym kierunkiem.

Wydział Krajowy we Lwowie poparł również skutecznie pracę na tem polu, którą prowadzili profesor Zbrozek i prof. Szulc. W 1887 r. posiadamy w Małopolsce 82 stacji obserwacyjnych, których liczba podwoiła się w 1894 r. Prace tych placówek wzbogaciły polską naukę w bardzo obfity i ciekawy materiał fizjograficzny, przedstawiony w sprawozdaniach Komisji fizjograficznej w Krakowie, drukowanych corocznie jako wydawnictwa Akademii Umiejętności.

Prace warszawskie obejmują trzy dwudziestolecia od 1831 r. do 1890 roku.

Z końcem XIX stulecia istnieje ogółem na ziemiach polskich 207 stacji meteorologicznych, 568 stacji ombrometrycznych i wiele placówek klimatycznych. Polska też literatura naukowa jest wielce bogatą w monografie i prace naukowe, obejmujące większe obszary ziem polskich lub całość.

„Kosmos“ wylicza wiele tych prac w 1919 roku, poczynając od dawnych czasów. Już Długosz podaje w swej historii liczne dane, dotyczące się klimatu w Polsce. Wzmianki te Długosza zebrał Glogier i wydał w osobnej pracy p. t. „Wyciągi z dziejów Polski Długosza, do-

Wilgoć i zimno - wrogowie człowieka

Jesienne słoty i chłody, — to najlepszy „sezon” dla lekarzy, — sezon katarów, przeziębień i rozmaitych epidemii, przede wszystkim grypy.

Zastanówmy się, jakie są tego powody. Pomocną nam tu będzie meteoropatologia, specjalna gałąź wiedzy lekarskiej, zajmująca się badaniem w jaki sposób organizm ludzki reaguje na rozmaite zmiany środowiska, w którym się znajduje.

Nauka to nie nowa: od niepamiętnych już czasów obserwowano i rejestrowano ujemny czy dodatni wpływ wilgoci, suchości gorąca i zimna na organizm człowieka. Dopiero jednak w najnowszych czasach, — nie ograniczając się na suchoj rejestracji ogólnie znanych faktów, podjęto próby naukowego zbadania i wyjaśnienia całego mechanizmu tych czynników, z punktu widzenia higieny i patologii.

Nie jest to rzeczą prostą ani łatwą, mamy tu bowiem do czynienia z całym kompleksem różnorodnych czynników, działających równocześnie, jak: temperatura, stopień wilgoci, ciśnienie atmosferyczne, siła wiatru, czystość powietrza itp.

Szczegółowe omawianie wszystkich tych czynników zaprowadziłoby nas za daleko; dlatego zajmiemy się bliżej tylko najważniejszą z nich.

Wilgoć i zimno — to najgroźniejsze wrogi pory jesiennej. Zrozumiałym nam się staje cały sens popularnego wyrażenia „trzymaj się ciepła”. Organizm człowieka nie zdążył się jeszcze przystosować po letnich upałach do tego dość znacznego spadku temperatury. Pod działaniem zimna kurczą się naczynia kapilarne, co nie pozostaje bez wpływu na krążenie krwi, — a w ślad za tem zmniejsza się odporność organizmu przeciw infekcji.

Nie dość jednak na tem: jak wykazały liczne obserwacje, wilgotne, chłodne powietrze jesienne sprzyja nadzwyczajnie mnożeniu się i przenoszeniu wszelkich zarazków, które w tem właśnie podłożu stają się szczególnie złośliwe i niebezpieczne.

Stwierdzono że takie choroby, jak zapalenie opon mózgowych, dyfterja, grypa, szkarlatyna, szerzą się najwłaściwiej na wiosnę i w jesieni, kiedy powietrze nasycone jest wilgocią. Wilgoć ta nie zawsze objawia się we formie mgły lub deszczu, — lecz może utrzymywać się w postaci mikroskopijnych kropelek pary wodnej.

Te właśnie mikroskopijne, niedostrzegalne dla oka, kropelki, zamieniają się niejako w akwarja, w których żyją i rozwijają się rozmaite, zarówno obojętne dla człowieka, jak i szkodliwe bakterie. W złąbnej swej działalności nie natrafiają one na żadne poważniejsze przeszkody: w wilgotnym powietrzu przenoszą się z większą łatwością z miejsca, gnane powiewem wiatru, opadają na odzież, przedmioty, na ciało ludzkie, — dostają się z łatwością do jamy nosowo-gardłowej, tej bramy wpadowej dla wszystkich zarazków, by stamtąd wędrować do płuc i innych organów wewnętrznych.

Tutaj dopiero występuje w pełni szkodliwe działanie zimna i wilgoci. Pod działaniem zimna, jak zaznaczyliśmy wyżej, organizm ludzki staje się bardziej podatny na infekcję. Dzięki wilgoci zaś bakterie, normalnie zatrzymywane przez błony śluzowe jamy ustnej i nosa, przenikają głębiej, aż znajdują odpowiednie dla siebie podłoże.

Że tak jest rzeczywiście, udowodnił

to dr. Trillat, uczony francuski z instytutu Pasteura. Dzięki skomplikowanym a pomysłowym urządzeniom stwierdził on niezaprzeczalnie, że w powietrzu wilgotnym kultury bakterij dostają się w ciągu paru minut do płuc zwierzęcia, które tem powietrzem oddycha. Natomiast suchy zupełnie pył, zawierający te same bakterie, wdychany przez zwierzę nawet przez kilkadziesiąt minut, zatrzymywany był w całości przez błonę śluzową jamy nosowo-gardłowej.

Wszystkie te rzeczy, naogół oddawna znane nawet zupełnym laikom, są obecnie przedmiotem gruntownych studiów jeszcze i z innych względów.

Idzie mianowicie o zagadnienie komfortu i higieny naszych mieszkań. Wodociąg, centralne ogrzewanie, gaz, elektryczność, — to jeszcze nie wszystko. Niemniej w rolę gra kwestia należytej wentylacji, kwestia czystości powietrza i jego stopnia wilgoci.

Na tem polu zrobiono już dużo,

zwłaszcza w Ameryce. Istnieją już specjalne urządzenia, zapomocą których powietrze po przefiltrowaniu, oczyszczeniu i osuszeniu, doprowadza się z zewnątrz do mieszkań. Urządzenia te pozwalają dokładnie regulować temperaturę i stopień wilgoci zupełnie automatycznie.

Jesteśmy zatem świadkami powstawania nowej zupełnie gałęzi nauki, o partej na najnowszych zdobyczach fizyki i medycyny. Nauki, mającej duże znaczenie społeczne, uwzględniającej w równej mierze postulaty nowoczesnego komfortu i higieny.

Czy jednak z chwilą osiągnięcia takiego idealnego komfortu organizm ludzki na tem nie straci? Skoro niebezpieczeństwo infekcji zostanie zredukowane do minimum, skoro oddychać będziemy w mieszkaniach powietrzem niejako „sterylizowanym”, o pewnym z góry określonym, stopniu wilgotności i ciepła, — czy organizm zdoła zwycięsko oprzeć się wszystkim szkodliwym wpływom, na jakie wystawiony będzie poza obrębem mieszkania?

Są to pytania — dziś jeszcze nie aktualne, — a odpowiedź na nie dać może tylko fizjologia. (R.)

Gdy radio się starzeje...

Odbiornik radiowy przez używanie zużywa się i to zarówno pod względem elektrycznym jak i mechanicznym. Zużywają się przede wszystkim lampy odbiorcze a co za tem idzie — zmniejsza się sprawność aparatu, dalej zużywają się części składowe, których wymiana względnie poprawienie w porę przywraca naszemu aparatowi jego pierwotną sprawność. Oczywiście zgóry przyjmujemy, że aparat był prawidłowo zbudowany, to znaczy, że żadna z części składowych ani z lamp nie była przeciążona elektrycznie i pracuje w najlepszych warunkach pracy. Jeżeli chodzi o lampy — wiemy, że pracują one w zależności od przeznaczenia w pewnych punktach charakterystyki; dobór napięć: siatkowych, anodowych, siatek osłonowych (ekranów) musi być ściśle dostosowany do charakterystyki lampy.

Z części składowych należałoby wymienić: transformatory sieciowe, niskiej i wysokiej częstotliwości, cewki wymienne, kondensatory o dielektryku stałym, opony wysokoomowe, sprężyny kontaktowe i materiały izolacyjne. Uszkodzenia transformatorów sieciowych i małej częstotliwości są bardzo rzadkie. Mogą zająć skutkiem zwiększe-

nia natężenia prądu co przy dobrze zaprojektowanym i obsługiwany odbiorniku z góry wykluczamy, lub skutkiem uszkodzeń mechanicznych.

Fabrykacja transformatorów postąpiła obecnie tak daleko, że zarówno utlenienie jak i przebiecie międzywarstwowe zostało wykluczone niemal zupełnie. Może zająć zepsucie izolacji — najczęściej w transformatorach nieopancerzonych. Łatwiej ulegają zniszczeniu wymienione cewki i transformatory wielkiej częstotliwości. Nieprawidłowa konstrukcja, zbyt luźne nawinięcia oraz złe obchodzenie się z nimi przyczyniają się do szybkiego zepsucia, polegającego na złych kontaktach i złamaniach drutu.

Zły kontakt zachodzi najczęściej przy zaniku materiału izolacyjnego; zaradzić temu brakowi możemy przez dokręcenie śrub. Jeżeli drut cewki lub transformatora wielkiej częstotliwości jest złamany i to nie blisko początku lub końca ale w środku, wówczas zmuszeni jesteśmy do ponownego nawinięcia cewki. Materiały izolacyjne ulegają pewnego rodzaju skurczowi, który sprawia, że osadzone w materiale części metalowe ulegają obłuznieniu. Każdy radiostuchacz może przekonać się o tem, przez dokręcenie

wszelkiego rodzaju śrub i zacisków oraz nakrętek. Co pewien czas należy więc przegladnąć aparat, podkręcać wszystkie śruby i nakrętki jeżeli chcemy zapewnić stałe kontakty.

To samo odnosi się też do sprężyn kontaktowych, oprawek do lamp i cewek, podstawek do oporów wysokoomowych oraz przełączników i wszelkich kontaktów ruchomych. Proste wygięcie sprężyny uchroni nas na dłuższy czas od wadliwych kontaktów i mogących stąd powstać tak nieprzyjemnych trzasków i przeszkód.

Przy źle skonstruowanej (nieuszczelnionej) skrzynce może nastąpić zakurzenie pewnych części a co za tem idzie obniżenie ich wartości. W niektórych konstrukcjach odległości między dwiema częściami metalowymi, które mają być odizolowane od siebie są tak małe, że stwarza się pomost dla prądu, skoro osiadzie tylko warstwa kurzu. Na zakończenie należy dodać, że nieraz spotykamy się z utlenieniem miejsc, przy lutowaniu których został użyty kwas. Jeżeli utlenieniu uległa delikatniejsza część aparatu, musimy o ile oczyszczenie nie pomogło — wymienić tę część na nową. S. K. W.

PUBLIUS OVIDIUS NASO.

Smierć Herkulesa

(„Przemian” ks. IX. w. 132—210)

Zamieszczamy poniżej wyjątek z dokonywanego przez A. Cwikowskiego przekładu jednego z najsłynniejszych utworów klasycznej literatury łacińskiej, „Przemian” P. Owidiusa Nosona

Herkulesa chwala
Niosła się ziemia i gniew macochy wzmagala.
Jowiszowi w Caeneum zwycięzca z Oechalii
Miał wypełniać ślub, gdy Wieść gadatliwa z dali
Do uszu, Dejaniro, twych szepnąć pośpiesza —
Która cieszy się, kiedy fałsz z prawdą pomiesza
I z drobnostki przez kłamstwo wzrasta — że Iole
Trzyma Amfitrionadę w swej miłości kole.
Uwierzyła — i zdjęta lękiem wobec wieści
Nowej miłości płakać ją i boleści
Płaczem ulgę przyniosła. Potem: Na cóż łyż mi? —
Rzekła, radość rywalce przyniosłabym niemi.
Ma przybyć... muszę śpieszyć się, coś przygotować,
Póki czas, zanim przyjdzie w mój dom panować.
Milczeć czy płakać? Wrócić, w Kalydon się schronić?
Czy zostać? Dom opuścić? Czy jej wstępu bronić?
Nic więcej? A co, jeśli, Meleagrze, godnie
Jak twa siostra działając, przysposobię zbrodnię
I zabiwszy rywale, zaświadcze, co znaczy
Krzywdą niewieście i ból niewieściej rozpacz?
Aż po długim wahanu wreszcie postanowi
Napojoną Nessusa krwią wysłać mężowi
Szate, która miłości ma wskrzesić zarzewie.
Nie wie Lichas, co bierze, ona sama nie wie,
Co śle na swą żalobę, pochlebne słowa
Prosi go, aby wręczył podarunek owy.
Nieświadomy bohater kładzie na ramiona

Szate, co jadem żmiji z Lery przepojona.
Modłać się, kładł kadzidła w pierwszych ogni żary
I wino lał na ołtarz marmurowy z czary...
Zawrzał jad ów i topić się w ciepłe, szeroko
Po ciele Herkulesa rozlał się posoka.
Dopóki zdołał, zwykłem męstwem dusił jęki,
Lecz skoro wytrzymałość zwyciężyły męki,
Odechnął ołtarz. Oeta poniósł się krzyk głośny;
Rozrywa, chce się szaty pozbyć śmiertelności
I wraz z nią zdziera skórę, bo — mówić ohyda! —
Szata lepię do członków... szarpać się nie przyda...
Lub krwawe płyty ciała odsłania i kości.
Sama krew — jak żelazny pręt gdy do białości
Rozżarzysz i zanurzysz w zimnej wody fali.
Syczy i wre zmieszana z jadem, co ją pali.
Niema rady. Przeżera wnętrze ognie rączy,
Po ciele się sinemi kroplami pot sący,
Skwierczą ścięgnię, jad działa w topniejącym szpiku —
A wtedy do gwiazd ślepych podniósł ręce w krzyku:
Napaś się mem nieszczęściem, Saturnio, i z tronu
Niebios patrzaj, okrutna, na tę mekę zgonu
I nasyć dzikie serce! A jeżeli wzrusza
Los mój i wroga — wrogiem jam ci — da i, niech dusza
Bolem znękana, tobie tak zniecierliwiona,
Uleci... Ona była dla trudów stworzona.
Śmierć — darem dla mnie; okaż się macochą... w darze!
Jam to krwią płamiącego przybyszów ołtarze —
Buzirisa poskromił? jam to matki siły
Anteusowi wydarł? mnie to nie straszły
Trzy ciała Geryona? Cerber, o paszczęce
Potrójnej? rogi tura wyście zgjęty, ręce?
Waszem dzieło w Elidzie? Waszej to roboty
Czyn nad Styfalo i na Parteniosie? Złoty
Haftem z nad Termodontu pas, owe owoce,
Których bronił bezsenny smok, wasze-li moce
Przyniosły? Nie mogły mi Centaurowie sprostać.
Ni dzik, rabuś z Arkadii... Cóż — że hydry postać
Potężniała przez stratę dwakroć w sile swojej?
Ha! a gdym ujrzał, że Trak rumaki swe pol

Krwia ludzką, że im w żłoby z ciał stawa podana,
Rozrzuciłem je, konie zabiwszy i pana!
W tych ramionach zduszony leży potwór olbrzymi
Nemei, ten kark niebo podtrzymywał. Swoimi
Rozkazami znężyła się Juno srożaca,
A ja trudem niezmierzonym zostałem do końca.
Lecz oto groza nowa, od której nie zbawi
Męstwo ani broń żadna. Płomień płuca trawi
I sycąc się, po wszystkich członkach ciała bieży...
Ale zdrów jest Eurysteus! i jest ktoś, kto wierzy,
Że są bogowie? Rzekł — i w ranach Oety szczytem
Kroczy jak tur, z żelaznem ostrzem, w ciało wbiłem
Gdy sprawca uszedł. Można było w owej dobie
Widzieć, jak jęczy, to znów zgrzyta, to na sobie
Usiłuje nanowo rwać szaty, pnie drzewne
Wali, górą porywy każe odczuć gniewne.
Albo ku niebu ojca wyciąga ramiona...
Wtem spostrzega Lichasa. Skata wydrażona
Kryła drżącego... Ból w nim wznieca szat bez miary:
Tyś to, Lichasie... krzyknął — przyniśś śmierci dary?
Tyś sprawca mojej zguby? Drży i z twarzą białą
Od strachu tłumaczyć się próbuje nieśmiało.
Podczas gdy do nóg chylił się szepać wyrazy,
Porywa go Alcya i kilka nim razy
Zawinawszy, w Eubejskie fale ciska z mocy
Rozmachem, potężniejszym od wojennej procy,
On, lecąc przez powietrzną przestrzeń, kamienieje:
Jak zsiadać zwykły się deszcz, gdy zimny wiatr zawieje
I z tego śnieg powstaje i jak śniegu płatki
Kracząc się, krzepną w ciału o powierzchni gładkiej
I tworzą gęstą masę gradu — tak rzucony
Lichas w puste powietrze silnymi ramionami,
Gdy wilgoć w ciele stracił i krew z przerażenia,
Według podania w twardą skałę się przemienia
I odtąd nad Eubejską toń wzgórek wybiega
I oko w nim ślad ludzkiej postaci dostrzega.

Tłumaczył ARTUR CWIKOWSKI